

## ANALIZY I OPINIE

A więc stało się. Z dniem 1 stycznia br. zapowiadany od tygodni nowy program rządowy uzdrowienia gospodarki polskiej wystartował, a raczej skoczył przez okno w ciemną noc, nie wiedząc z którego piętra, ani co za grunt czeka go w dole. W nawale innych wydarzeń światowych, omawiane wydarzenie nieco się zagubiło, choć nie całkowicie.

Tak np. Richard Grenier w "Washington Times" z 4 stycznia, pełen zachwytu dla "nieustraszonych Polaków", którzy porwali się na omawiany krok, przypomina inne polskie bohaterstwa z czasów II wojny światowej. "To Polska Armia przełamała niemiecką linię obronną pod Monte Cassino i ona zamknęła 'lukę Falaise' w Normandii".

Milo tego słuchać, bo prawdę mówiąc mało kto na Zachodzie wie o tych wyczynach, albo wie co innego niż ów sympatyczny dziennikarz. Obawiam się jednak, bo wynika to z artykułu, że Grenier nauczył się tych przykładów od kogoś w Polsce, bo po angielsku nie wiem, gdzie mógł to wyczytać. Prawda bowiem jest taka, że nasz II Korpus mimo bezprzykładnego bohaterstwa, linii obronnej Niemców nie przerwał pod Monte Cassino. I-sza faza bitwy była nawet przegrana dla Korpusu i dopiero II faza była zwycięska, gdy Anglicy zaczęli obchodzić obronę niemiecką. Prawda, udało im się to dzięki ściągnięciu uwagi i ognia Niemców na walkę z Polakami, ale to już co innego.

Co więcej, gen. Władysław Anders podjął decyzję szturm Monte Cassino po ultimatywnym zaproponowaniu mu czegoś podobnego przez dowódcę VIII Armii Brytyjskiej gen. Olivera Leesa (ten dał mu tylko 10 minut do namysłu) **wbrew istniejącym ustaleniom polsko-brytyjskim**, za co Wódz Naczelny, gen. Kazimierz Sosnkowski, miał do gen. Andersa pretensje. Czy słuszne, zostawmy to historykom. II Korpus był ponadto za słaby w piechocie i artylerii dla wykonania zadania. Anglicy co prawda dali artylerię ciężką i najcięższą, ale nie dodali piechoty i natarcie polskie osłabło

## SKOK W NIEZNANE

ZDZISŁAW M. RURARZ

znajomość ogranicza się do krótkiego pobytu stypendialnego na jakiejś uczelni zachodniej, do literatury podręcznikowej, która jest mało konkretna i pisana przez ekonomistów, którzy sami nigdy żadnymi przedsiębiorcami ani bankierami nie byli, oraz do zachwycania się obfitością dóbr na Zachodzie, czy choćby w Pewexie.

Podstawowy błąd, który zrobili autorzy omawianego problemu, to chęć budowania gospodarki polskiej na wzór rozwiniętego Zachodu. W dodatku próba naśladownictwa jest tu mało konkretna. **O który kraj zachodni chodzi mianowicie?** Mimo różnych podobieństw, każdy ma swoją specyfikę i nie jest obojętne czy mamy wzorować się na USA, Japonii, Niemczech Zachodnich, Szwecji czy Szwajcarii. Ponadto, **Polska nie jest krajem rozwiniętym** i nie może wzorować się na Zachodzie.

Pisząc te słowa nie neguję bynajmniej konieczności ratowania gospodarki polskiej z zapaści, ale **nie mogę się zgodzić** z takimi metodami jej ratowania. Już nie dlatego, że są one z gruntu błędne w swym podstawowym założeniu, ale również dlatego, że **są one mało precyzyjne**. Tak np. uważano początkowo, że bezrobocie może wynieść 400 tysięcy, a już mówi się o 1-3 milionach. A czy na tym koniec? Mówi się o spadku dochodów realnych ludności o 20%, ale przecież tego nikt dokładnie nie obliczył. Podobnie jak nikt nie obliczył ile wyniesie w rzeczywistości spadek dochodu narodowego i produkcji przemysłowej w roku bieżącym, gdyż 2-3% w pierwszym przypadku i 5% w drugim, pochodzą z sufitu. Podobnie jak z sufitu wyliczono zabicie hyperinflacji niemal do zera w ciągu czterech miesięcy, itd. itp.

Nikt też nie wie dokładnie ile wyniesie pomoc zachodnia, choć wiadomo już z całą

wyższego od wolno-rynkowego, zachęci obcy kapitał prywatny do masowego napływu. Osobiście wątpię, że obecny kurs utrzyma się długo, a podtrzymanie wymiennalności złotego przy skromnym zaangażowaniu środków, jest też problematyczne. Kapitał może więc nie napłynąć, zaś w międzyczasie kurs złotego, zbyt głęboko zdewaluowany, wpłynie na ostre podrożenie importu, co z kolei może stanąć w **poprzek** zamiarom zbijania hyperinflacji.

W ogóle zaś cała operacja, mająca eliminować "nierentowną" produkcję, piszę w cudzysłowie, bo **nikt w Polsce nie wie co jest rentowne**, w połączeniu z zamykaniem przedsiębiorstw i bezrobociem, może ostatecznie zakłócić proces produkcyjny do tego stopnia, że produkcja zamrze w ogóle. Produkcja w Polsce, podobnie jak wszędzie w świecie, jest "rozkooperowana". Zamknięcie nawet jednego zakładu, może spowodować perturbacje w produkcji wielu innych zakładów. I nie jest tu ważne czy taki zakład był rentowny czy nie. W Polsce jest ponad 11 tys. przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych w samym tylko przemyśle. Nikt nie wie ile z nich jest nierentownych. Zamknięcie choćby jednej dziesiątej tych przedsiębiorstw może położyć produkcję przemysłową na przysłowiowe łopatki, zwłaszcza gdy sytuacja płatnicza nie pozwala na ratowanie się importem (jeśli w dodatku jest on asortymentowo w ogóle możliwy, i to szybko).

Wolny rynek, tak go nazwijmy umownie, bo takich rynków w czystej postaci nie było i nie ma, może odgrywać pobudzającą rolę w produkcji, ale z reguły produkcji uporządkowanej. W

to się zmieni i produkcja żywności zacznie wzrastać — nie ma pewności. Tymczasem ludzie głodują i żywność w ich budżetach ma udział wyższy niż kiedykolwiek w przeszłości.

Cóż należało wobec tego robić?

Pomijając akcje doraźne, jak równoważenie budżetu czy zbijanie inflacji (która wynika z tego pierwszego) Polsce potrzebna jest właściwa polityka rozwojowa, której nigdy nie było w okresie powojennym. O jaką politykę tu chodzi?

W kraju takim jak Polska chodzi zwyczajnie o świadomą i długofalową **politykę selektywnego rozwoju gospodarczego**, gdzie po pierwszych porządkach zadaniem priorytetowym powinien być **eksport towarowy**. Tego jednak nigdy nie próbowano. Zaraz po wojnie był Plan Odbudowy na okres 1947-1949, nawet udany, choć pod koniec już zaczęło się źle ze względu na postępujący stalinizm i "zimną wojnę". Był to okres zresztą nietypowy.

Plan 6-letni na okres 1950-1955 był już zaprzeczeniem rozsądku. Dodatkowo skomplikowało go w wykonaniu, wcześniej nie planowane, stworzenie przemysłu obronnego oraz tzw. struktury obronnej, co pociągnęło za sobą niebotyczne wydatki. Ze względów ideologicznych i polityczno-strategicznych postawiono na przemysł ciężki, z reguły o przestarzałej technologii i rozmieszczony w nieodpowiednich miejscach. Przy okazji dobito rolnictwo oraz szereg usług.

Najgorsze jednak, że rozwój gospodarczy, cokolwiek on nie oznaczał, przyjął **autarkiczny** charakter. Produkcja przemysłowa i dochód narodowy rosły szybciej niż handel zagraniczny.

Przez następne ponad dziesięć lat po 1955 r. próbowano korygować narosłe anomalie w rozwoju gospodarczym, choć w międzyczasie dodawano nowe.

Jednakże pod koniec lat 1960-tych przyjęto jednak słuszną zasadę rozwoju selektywnego, ale sprawę zagmatwano w wykonaniu i w dodatku nie zdołano zabrać

podobnego przez dowódcę VI Armii Brytyjskiej gen. Olivera Leesa (ten dał mu tylko 10 minut do namysłu) **wbrew istniejącym ustaleniom polsko-brytyjskim**, za co Wódz Naczelny, gen. Kazimierz Sosnkowski, miał do gen. Andersa pretensje. Czy słuszne, zostawmy to historykom. II Korpus był ponadto za słaby w piechocie i artylerii dla wykonania zadania. Anglicy co prawda dali artylerię ciężką i najcięższą, ale nie dodali piechoty i natarcie polskie osłabło ze względu na brak rezerw. Linii obronnej Niemców, a zresztą były dwie linie, Gustawa i Hitlera, które broniły dostępu do Rzymu, nie przelaliśmy...

Podobnie było z zatknięciem "worka Falaise" przez I Dywizję Pancerną gen. Stanisława Maczka. Mimo olbrzymiego bohaterstwa naszych pancerniaków, siły niemieckie były zbyt wielkie i ok. 40 tys. Niemców wyrwało się z "worka", łącznie z dowództwem VII armii niemieckiej (o co bardzo niesłusznie marszałek Montgomery miał pretensje do Polaków).

Rzecz w tym, że ciągle żyjemy mitami, które udzielają się nawet innym, a w rezultacie tego porywamy się na nowe batalie, których szanse wygrania są o wiele mniejsze niż tamtych z II wojny światowej.

Co więcej, nieustanne wycieczki do Polski różnych prominentów zachodnich, nie mówiąc już o ekspertach Międzynarodowego Funduszu Walutowego czy szarlatanach w postaci prof. J. Sachsa, bardzo nieodpowiedzialnie podniecają naszych działaczy gospodarczych. Przypomina to odpustowe zbijanie butelki.

Sceny tego rodzaju przypominają obecną sytuację w Polsce. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, który "doradził" 39-u krajom i wszystkim źle, doradził też Polsce. Inni prominenci, którzy u siebie w domu nie słyną z niczego szczególnego, w Polsce albo się wymądrzają, albo zachwycają tym co im się opowiada na temat uzdrawiania gospodarki polskiej. Ale nie do nich trzeba mieć pretensje. Ostatecznie Polacy mają wasne głowy. Niestety, z tymi głowami jest problem. Ongiś wiernie naśladowano "przykład radziecki", zaś teraz "zachodni".

Co się zaś tyczy tego ostatniego, to jego

przecież tego nikt dokładnie nie obliczył. Podobnie jak nikt nie obliczył ile wyniesie w rzeczywistości spadek dochodu narodowego i produkcji przemysłowej w roku bieżącym, gdyż 2-3% w pierwszym przypadku i 5% w drugim, pochodzą z sufitu. Podobnie jak z sufitu wyliczono zbiecie hiperinflacji niemal do zera w ciągu czterech miesięcy, itd. itp.

Nikt też nie wie dokładnie ile wyniesie pomoc zachodnia, choć wiadomo już z całą pewnością, że będzie ona o wiele za mała w **stosunku do potrzeb**. Wiadomo tylko, że zadłużenie dewizowe wzrosło z ok. 40 miliardów dolarów do co najmniej 43,5 miliardów odpowiednio.

Zresztą pomoc zachodnia (a nie jest to głównie pomoc) może być **zneutralizowana zmianami** w obrotach polsko-sowieckich, które mogą nas kosztować co najmniej 1 miliard dolarów już w 1991 r. (w związku z przejściem na ceny światowe i rozliczenia w wolnych dewizach).

Nie ma też żadnej pewności, że wprowadzona wymienialność złotego według jednolitego kursu, w chwili gdy piszę te słowa,

przedsiębiorstw może położyć produkcję przemysłową na przysłowiowe łopatki, zwłaszcza gdy sytuacja płacnicza nie pozwala na ratowanie się importem (jeśli w dodatku jest on asortymentowo w ogóle możliwy, i to szybko).

Wolny rynek, tak go nazwijmy umownie, bo takich rynków w czystej postaci nie było i nie ma, może odgrywać pobudzającą rolę w produkcji, ale z reguły produkcji uporządkowanej. W powszechnym bałaganie polskim, gdzie dodatkowo przemysł nigdy nie nowoczesny uległ olbrzymiemu zacołaniu, bo kryzys trwa od 1979 r. "skok w rynek" nic nie zmieni. Jakąś próbkę tego mamy na wolnym rynku żywnościowym. Ceny żywności skoczyły ponad 10-krotnie i nadal wznoszą, zainteresowanie produkcją rolną słabnie, a w dodatku dochodzi do marnowania żywności, której nie można sprzedać ze względu na zbyt wyśrubowane ceny, zaś chłopcy znów zaczęli karmić trzodę chlewną mlekiem. Rynek się coppersprawda nieco ustabilizował, ale przy niższym poziomie spożycia i produkcji żywności. Czy potem

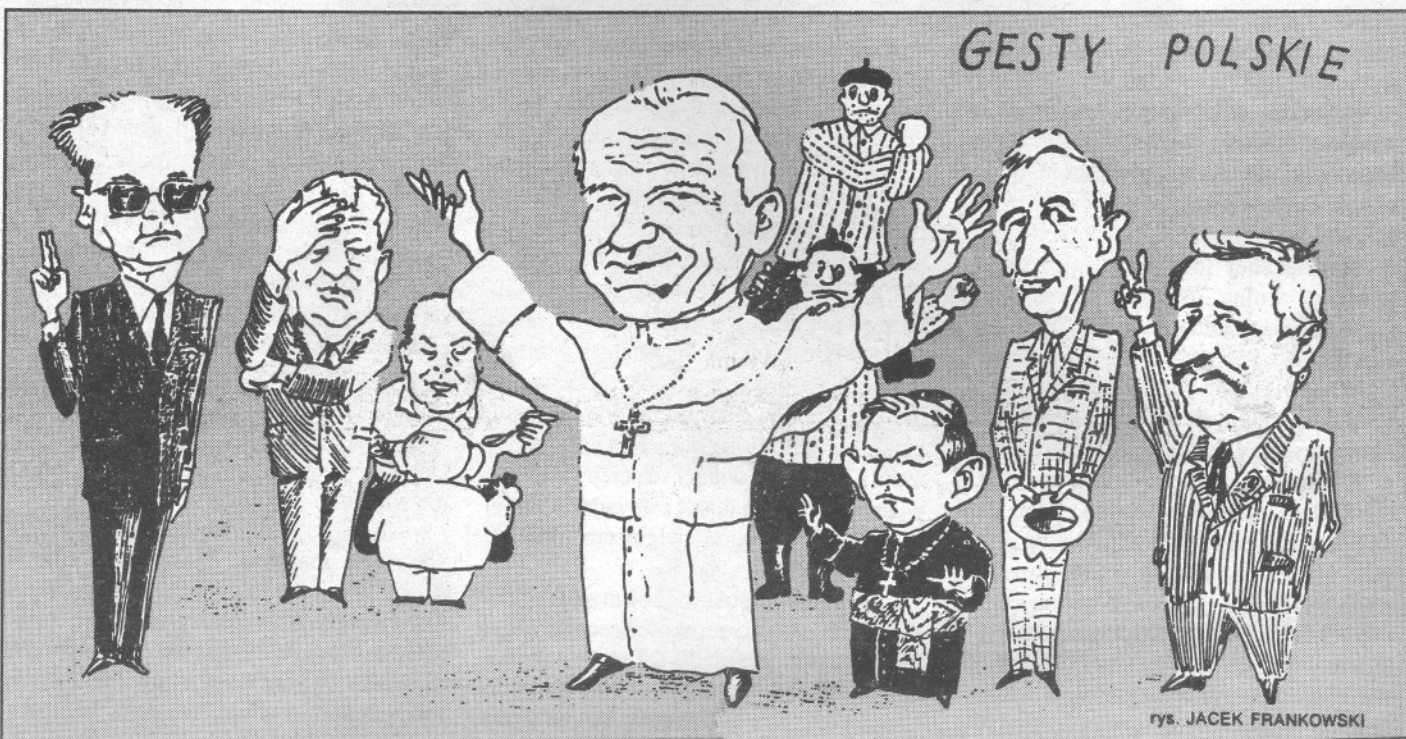
autarkiczny charakter. Produkcja przemysłowa i dochód narodowy rosły szybciej niż handel zagraniczny.

Przez następne ponad dziesięć lat po 1955 r. próbowano korygować narosłe anomalie w rozwoju gospodarczym, choć w międzyczasie dodawano nowe.

Jednakże pod koniec lat 1960-tych przyjęto jednak słuszną zasadę rozwoju selektywnego, ale sprawę zagmatwano w wykonaniu i w dodatku nie zdołano zabrać się do dzieła, co miało nastąpić w 1971 r. Wypadki Grudniowe z 1970 r. położyły kres tej polityce (która w swych zarysach była słuszną, choć wiele szczegółów było dalece niejasnych).

Do roku 1973 było znów zamieszanie w gospodarce, choć wykazywała ona niezłe tempo rozwoju, a potem nastął okres "rozwoju harmonijnego" (ani ja, kiedy byłem doradcą ekonomicznym Gierka w okresie koniec września 1971 r. — koniec grudnia 1972 r., ani mój następca prof. Paweł Bożyk, nie byliśmy autorami tej koncepcji).

Ciąg dalszy na str. 9



## SKOK W NIEZNANE

Dokończenie ze str. 5

Krótko mówiąc, postawiono na rozwój wszystkich gałęzi gospodarki jednocześnie, a orientacja pro-eksportowa zniknęła z pola widzenia. Boom inwestycyjny i konsumpcyjny spowodował gwałtowny wzrost zadłużenia. Jak wiadomo, "żniwa inwestycyjne" nigdy nie miały miejsca, warunki w handlu zagranicznym, ze względu od Polski niezależnych, uległy komplikacji, zaś urodzaje też nie były najlepsze. W rezultacie doszło do spadku dochodu narodowego już w 1979 r., a potem przyszły znane wydarzenia, które już nie pozwoliły na przewyżczenie kryzysu. Co gorsza, nawet ongiś nowoczesny tu i ówdzie przemysł, uległ zesterzeniu się.

Wyjście z tego marazmu wymaga nie "skoku w rynek", a uchwycenia kilku ogniw w gospodarce, na bazie których możnaby przejść do selektywnej ekspansji. Ponieważ musi to być ekspansja pro-eksportowa, przeto wybór pada automatycznie na przemysł, zarówno przetwórczy jak i wydobywczy. Prawda, dotkliwy jest brak mieszkań i olbrzymie zacofanie w rolnictwie, ale ani budownictwo, ani nawet rolnictwo, nie mają decydującego znaczenia dla handlu zagranicznego, eksportu zwłaszcza.

Znalezienie odpowiednich przemysłów dla wykonania zadania, nie jest takie łatwe, gdyż obecnie ani jeden przemysł w Polsce nie stoi na poziomie światowym. Modernizacja nawet wybranych przemysłów nie wydaje się też możliwa w oparciu o własne siły. Brak jest bowiem kapitału i technologii. Jeśli obcy kapitał może odegrać rolę pozytywną, to trzeba go zapraszać nie tak "w ogóle", a do konkretnych przedsięwzięć.

Na przykład, co robić z przemysłem hutniczym? Produkuje on 17 milionów ton stali surowej (ongiś 20 mln. ton). Ale 40% tej stali trafia z powrotem do pieca. Reszta, gdyby tylko była właściwego asortymentu i lepszej jakości, zupełnie wystarcza na potrzeby wewnętrzne i eksport. Po cóż jednak marnować energię i surowce, nie mówiąc już o zatrucaniu środowiska naturalnego na tamte prawie 7 mln. ton? Odpowiedź jest znana. W hutnictwie polskim tylko 10% stali odlewanej jest sposobem ciągłym, podczas gdy w Japonii 93% odpowiednio. W Polsce mamy niemal wyłącznie piece martenowskie, podczas gdy bardziej wydajne konwertor-



wojenną. Rząd chciał stworzyć przemysł obronny, bo go nie było. Chciał to zrobić w oparciu o rynek, czyli rodzimy i obcy kapitał prywatny. Nic z tego nie wychodziło. W końcu wziął się za sprawę sam i jak to świetnie zrobił! Polska broń stała na najwyższym poziomie technicznym i jakościowym, a Polska była czwartym jej eksporterem w świecie. Prawda, broń była potrzebna w kraju, ale dewizy też były potrzebne.

Niestety, ani "władza ludowa" dawniej, ani "koalicyjna" obecnie, albo nie wie co robić, albo robi źle, albo nie chce robić, ufając w nadprzyrodzone siły, ongiś w postaci "woli politycznej" a teraz rynku.

A co będzie, jeśli z programu rządowego wyjdą nici? Czy w ten sposób rozpoczniemy nowy "okres błędów i wypaczeń"? Albo z góry oczywiste błędy będzie się próbować eliminować "drogą kolejnych przybliżeń"?

Rozwój gospodarczy, to wcale nie żywioł. Czy jest on tak czy inaczej planowany i programowany, czy w inny sposób sterowany, to jednakże nie jest on żywiołowy. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdzie rozwój musi być wyprzedzany przez oświatę i naukę, gdyż całymi latami trzeba celowo kształcić kadry dla określonych dziedzin gospodarki.

Na zakończenie warto dodać jeszcze jeden przykład. Otóż w USA od lat twierdzono, że kraj wszedł w okres post-przemysłowy, że produkować potrafi każdy głupi, a teraz liczą się usługi i marketing. Japonia zaś postawiła na sel-

ektywny rozwój naukowo-techniczny, a przede wszystkim na unowocześnienie technologii produkcji (70% zainstalowanych w świecie robotów znajduje się w Japonii). I jaki skutek tego? Amerykanie, którzy dali światu elektronikę, właśnie w niej przegrywają z Japonią.

Podobnie jest z przemysłem samochodowym, który przegrywa konkurencję z japońskim. Takich przykładów można mnożyć więcej. A rezultat tego jest taki, że USA stały się największym dłużnikiem świata, zaś Japonia największym eksporterem kapitałów, a giełda tokijska ma wyższe obroty od nowojorskiej... W dodatku USA zatrudnia coraz więcej ludzi w słabo płatnych usługach, a traci robotników w przemyśle przetwórczym, który masowo tworzył klasę średnią, ze względu na wysokie dochody zatrudnionych. Jeśli tak dalej pójdzie, to "American lifestyle" będzie tylko historią. A przyczyniła się do tego przesadna wiara w rynek.

Polska skoczyła w nieznane... Prawda, coś trzeba było zrobić z gospodarką, ale czy właśnie to, co zrobiono? Czy aby znów nie wracamy do "zakłęk gospodarczych"? Po to, żeby nie zdzierać butów i nie dziurawić skarpet, niekoniecznie trzeba chodzić boso, albo, co gorsza, amputować nogi... Jest jeszcze wiele innych sposobów pośrednich dla uniknięcia skrajnych.

Najgorsze tylko to, że skoku nie da się cofnąć. Skok może być krótszy niż tego chciano, z upadkiem, a nawet złamaniem nogi, ale nie można go nie dokonać, gdy już raz się odbito. Miejmy tylko nadzieję, że upadek nie będzie zbyt bolesny... A tymczasem najwyższy czas, żeby zaczęto myśleć u nas kategoriami konkretnymi, a nie ogólnikowymi. Ogólniki zawsze pokrywają niewiedzę, choćby były one podawane w sosie uczoności.

Solidarność nie miała czasu na przemyślenie tego, co robi, gdy niby dojdzie do władzy. Stąd też improwizacja połączona z brawurą i zakrapiana mitologią — nie jest rozwiązaniem. Gdzie jak gdzie, ale w gospodarce brawura jest najmniej potrzebna. A propos, brawura cechuje gospodarkę socjalistyczną, stalinowską zwłaszcza. Japonia, czy Korea Południowa, bez brawury, po cichu i mrówczą pracą, w połączeniu z konkretną wizją rozwojową, dokonały czego dokonały. Skok był, ale nie w ciemno. Szkoda, że o tym zapomniano.

ZDZISŁAW RURARZ

wystarcza na potrzeby wewnętrzne i eksport. Po cóż jednak marnować energię i surowce, nie mówiąc już o zatrucaniu środowiska naturalnego na tamté prawie 7 mln. ton? Odpowiedź jest znana. W hutnictwie polskim tylko 10% stali odlewanej jest sposobem ciągłym, podczas gdy w Japonii 93% odpowiednio. W Polsce mamy niemal wyłącznie piece martenowskie, podczas gdy bardziej wydajne konwertorowe dominują w świecie.

Co robić? Zamknąć hutnictwo? Samo górnictwo węglowe pochłania 2 mln. ton stali rocznie. Sprowadzić? A za co?

Modernizacja przemysłu hutniczego szacowana jest na 4 miliardy dolarów. Albo jej się dokona, możliwie szybko, albo rynek zamknie całe hutnictwo. I co wtedy? A kapitał obcy, da się namówić do hutnictwa czy nie, a jeśli nie, to co wtedy?

Weźmy przykład następny, produkcję energii elektrycznej. W Polsce już nie tworzy się nowych mocy produkcyjnych. Stąd autentycznie zagraża nam "kryzys elektryczny", który może mieć fatalny wpływ na funkcjonowanie gospodarki i byt społeczeństwa. Prawda, nowych mocy można nawet nie tworzyć, bo oszczędność energii elektrycznej ma tu pole do popisu. Zmodernizowanie samych linii przesyłowych energii elektrycznej może zwiększyć jej podaż do 15%. Ale linie te trzeba zmodernizować i to kosztuje. Nikt nawet dokładnie nie obliczył ile by to kosztowało, a szkoda. Damy sobie z tym radę sami, czy szukać pomocy obcej?

Podobnych przykładów można mnożyć bez liku. Rozwój Polski nie leży w mnożeniu małych zakładów szwalniczych produkujących na eksport, jak to widziałem w telewizji amerykańskiej, gdzie nawet jeden z rodaków uważał to za przyszłość kraju. Dla Diora można szyc, ale tak w ogóle? Chyba, że chcemy zrównać się z Haiti. Korea Południowa eksportuje głównie wyroby przemysłu elektronicznego, przemysłu o **największej**, obok farmaceutycznego, wartości dodanej. Sam tylko eksport "chipsów" jest dominującą pozycją asortymentową w eksporcie i wartościowo równa się 1/3 całego eksportu Polski!

Prawda, co udało się w Korei Południowej może się już nie udać w Polsce, ale trzeba przecież próbować, jak nie to, tamto, ale nie na maszynach do szycia! Nie tędy droga. A jakoś nie słyhać któredy...

Brak konkretnej wizji rozwojowej nie będzie zastąpiony przez "sygnały z rynku". Minister przemysłu Tadeusz Syryjczyk, nie ma racji, gdy mówi, że niech rynek rządzi przemysłem, a nie minister...

Właściwe postawienie sprawy powinno być takie, że rynek i minister, albo odwrotnie, powinni współrządzić przemysłem. Rynek nie daje sygnałów długofalowych, a te są w końcu decydujące. W wielu wypadkach rząd musi mieć inicjatywę. Weźmy dla przykładu Polskę przed-